

BRONISŁAW MALINOWSKI

And Then I Feel A Strange Unrest.

Letter to Aniela Zagórska*

The basis for this publication is a manuscript which, like the remaining materials, we have received access to through the courtesy of the London School of Economics Archives and Ms. Helena Wayne. The LSE Archives have also prepared microfilm copies of Bronisław Malinowski's diaries, letters and personal documents. The manuscript, which has been classified as a letter, contains 22 A4 pages and lacks an ending (the full English-language description reads: *Malinowski, Section 1, Diaries and Diary Notes; 1/6 Letter: Malinowski to Aniela Zagórska, 22 pages, end missing, 25 Feb. 1913*).

The letter is addressed to Aniela Zagórska, writer and translator of Joseph Conrad's works, who for a time was Malinowski's English teacher (cf. the article by Helena Wayne: *Bronisław Malinowski: The Influence Of Women On His Life and Work*). It is not certain whether the letter was actually sent off or whether it was just a draft as the manuscript breaks off halfway through the final, 22nd page. It is unknown whether the addressee ever received it. From Malinowski's subsequent correspondence with Elsie Masson and other fragments of his *Diaries* published in *Konteksty* we know that Malinowski was in the habit of compiling such drafts, which were later rewritten as letters. Could this have been the case here? Is it possible that a full version of the letter has survived? An answer to these queries would entail further research, this time into materials left by Aniela Zagórska. Parts of the manuscript are hard to decipher, although not as difficult as the early diaries which we are preparing for print and which are much more troublesome as they contain fragments which are practically incomprehensible. We decided to limit our editing work to a minimum, mainly correcting the text's punctuation. We also attempted to preserve its original form, including the antiquated spelling, with *Anglia* (England)

* The title was selected by the Editors from the manuscript text.

and *bariera* (barrier) written with a j (the author himself is at times inconsistent here, spelling the name of the cave-renowned town Postojna *Postoina* and at times using both *Anglia* and *Anglja* and *studia* /research/ alongside *studja*). We concluded that we could not be accused of extravagance if we stayed as true as possible to the original manuscript's old-fashioned adjective forms (*pięknem* /beautiful/ *ludzkiem* /human/, *chemicznym* /chemical/, thus preserving the atmosphere of the day and the language used by the young scholar in 1913 without depriving the text of its actuality.

We also asked Ms. Helena Wayne for a commentary, which we enclose below.

Our editorial team also wishes to thank Ms. Helena Wayne and Dr Angela Raspin from the London School of Economics Archive for their assistance.

Z. B.

• • •

HELENA WAYNE

Gloss to Bronisław Malinowski's manuscript, To Miss Aniela Zagórska.

After my father Bronisław Malinowski's death in the U. S. in 1942 his second wife, the English-born painter Valetta Swann, moved to Mexico, where she spent the rest of her life. After her death in 1973 the executor of her last will invited me to come to Mexico City to look through my father's papers that had been in my stepmother's keeping. I returned to London with a sheaf of important documents which I added to those kept in my father's file in the London School of Economics Archives.

Among the papers I found several true treasures, including letters exchanged between my parents from the time of their first meeting in 1916 until my mother Elsie's premature death. I edited these letters and prepared them for publication – they appeared as "Historia Małżeństwa" (*The Story of A Marriage: the Letters of Bronisław Malinowski and Elsie Masson*, Routledge, London 1995). Another treasure was a collection of Malinowski's private diaries and documents dating back to his young years, all of them in Polish. Among them was the February, 1913 letter to Aniela Zagórska. It was unfinished, unsent and the text, which lacked the introductions and expressions usually found in personal correspondence, seemed to resemble an essay more than a letter. For me the pages of this manuscript are a wonderful memorial to certain aspects of my father's spiritual life in his younger years.

Podstawą do publikacji jest rękopis, udostępniony nam jak i inne materiały, dzięki uprzejmości Pani Heleny Wayne przez Archiwum London School of Economics, gdzie sporządzone zostały również kopie mikrofilmowe dzienników, listów i dokumentów Bronisława Malinowskiego. Rękopis ten, który został opisany jako list, zawiera 22 strony formatu A4 i jest niedokończony (pełna sygnatura angielska brzmi: „Malinowski Section 1 Diaries and Diary Notes; 1/6 Letter: Malinowski to Aniela Zagorska, 22 pages, end missing, 25 Feb 1913”).

Adresatką „listu” jest Aniela Zagórska, pisarka, tłumaczka dzieł Josepha Conrada, która przez pewien czas była nauczycielką angielskiego Malinowskiego (por. artykuł Heleny Wayne – *Bronisław Malinowski: wpływ kobiet na jego życie i dzieło*). Nie ma pewności, czy list został wysłany, czy jest to szkic, czy brulion, rękopis urywa się w połowie ostatniej zachowanej 22 strony, nie wiadomo czy dotarł do adresatki. Jak wiadomo z późniejszej korespondencji pomiędzy Malinowskim i Elsie Masson, tak jak i w innych fragmentach *Dzienników* Malinowskiego ogłaszanych w „Kontekstach”, Malinowski sporządzał takie bruliony, które były przepisywane do wysłania. Czy tak mogło być i w tym przypadku? Czy możliwe, by zachowała się pełna wersja listu? Ta kwestia wymagałaby dalszej kwerendy, tym razem w zbiorach zachowanych po Anieli Zagórskiej. Rękopis miejscami jest trudny do odcyfrowania, choć nie tak trudny jak wczesne dzienniki, które przygotowujemy do druku i które sprawiają znacznie większy kłopot, bo znajdują się w nich fragmenty zupełnie nieczytelne. Postanowiliśmy ograniczyć ingerencje redakcyjne do minimum, w głównej mierze polegały one na uzupełnieniu interpunkcji. Staraliśmy się zachować maksymalnie wiernie pierwotny zapis oryginału, wraz ze starą ortografią, jak i pisaną przez „j” „Anglją”, „barjerą” itp. (Sam autor zresztą nie zawsze jest tu konsekwentny, np. miejscowość słynąca z jaskiń Postojna pisana jest przezeń „Postoina”, bywa i „Anglia” obok „Anglji”, „studia” obok „studjów”). Uważaliśmy, że taka maksymalna wierność wobec rękopisu, zachowująca pewną manierę młodopolską, staroświecką, w pisowni przymiotników „pięknem”, „ludzkiem”, „chemicznem” nie będzie nam poczytana za redakcyjną ekstrawagancję, ale że nie odbierając nic z aktualności i współczesności treści, zachowamy aurę tamtego czasu i języka, jakim posługiwał się młody uczonek w 1913 roku.

Zwróciliśmy się również z prośbą o słowo komentarza do Pani Heleny Wayne, który zamieszczamy poniżej.

Pani Helenie Wayne i Pani Dr Angeli Raspin z Archiwum London School of Economics redakcja wyraża podziękowanie za współpracę.

Z.B.

BRONISŁAW MALINOWSKI

Ogarnia mnie wówczas dziwny niepokoj List do Anieli Zagórskiej*

• • •

HELENA WAYNE

Glosa do rękopisu Bronisława Malinowskiego „Pisane dla Panny Anieli Zagórskiej”

Po śmierci mego ojca Bronisława Malinowskiego, który zmarł w 1942 roku w USA, jego druga żona, pochodząca z Anglii, malarka Valetta Swann przeniosła się do Meksyku, gdzie spędziła resztę swego życia. Gdy zmarła w 1973 roku, wykonawca jej testamentu zaprosił mnie bym przybyła do Mexico City i przejrzała papiery ojca pozostałe w posiadaniu mej macochy. Przywiozłam mnóstwo ważnych materiałów z powrotem do Londynu i dołączyłam je do archiwum mego ojca w London School of Economics.

Wśród nich znalazłam kilka „prawdziwych skarbów”, jednym z nich była korespondencja pomiędzy moimi rodzicami od czasu ich spotkania w 1916 roku do przedwczesnej śmierci mej matki – Elsie. Listy te opracowałam i przygotowałam do publikacji, która ukazała się jako *Historia Małżeństwa (The Story of A Marriage: the Letters of Bronisław Malinowski and Elsie Masson)*, Routledge, London 1995). Innym skarbem był zespół prywatnych dzienników Malinowskiego i dokumentów z okresu jego młodości, wszystko pisane po polsku. Wśród nich znajdowało się to pismo z lutego 1913 roku kierowane do Anieli Zagórskiej. Było niedokończone, niewysłane, i wszystko wskazywałoby na to, tak treść, jak i forma nie zawierająca zwyczajowego dla listów wstępu i zwrotów, że bardziej przypomina esej aniżeli list. Kartki tego rękopisu są dla mnie pięknym przywołaniem pewnych stron wewnętrzного życia mego ojca z czasów jego młodości.

* Tytuł pochodzi od redakcji, zaczerpnięty z rękopisu.

• • •

Bronisław Malinowski

*And Then I Feel A Strange Unrest**

Letter to Aniela Zagórska

London, Feb. 25, 1913

Written to Ms. Aniela Zagórska
in Zakopane

It would be difficult for me to give a clear and simple answer to the question why I actually went to London. Why, in my 26th year, I entered a totally new field of research and why at this relatively advanced age I decided to write in English, a language I had heretofore little knowledge of, and accept English culture – also almost unknown to me – as, to a certain degree, my second spiritual homeland.

Up to that time I had occupied myself exclusively with natural studies and to a small extent with philosophy – albeit always in a nature-oriented context and in clear connection to mathematics and physics. In this case I dealt with nature's scientific aspects as expressed by mathematics, physics and chemistry. It is true that I was always drawn to so-called general themes. I never had the urge to specialise and there was no field of research that I found unattractive. In my natural studies I continuously skipped from mathematics to physics, from physics to chemistry and from theoretical to laboratory work. All this was proof of my mental amateurishness, something I will never free myself of and which eventually pushed me towards the social sciences, a field completely distinct from natural research. I now feel I will stop jumping from field to field, the more so as I have begun several projects which I intend to complete. Numerous problems will surely appear as I proceed but they will be new problems and in effect I will not be able to break out of my discipline's boundaries. In Leipzig, shortly before my arrival in London, I was already occupied with the so-called *Völkerpsychologie* embracing the beliefs and customs of various peoples alongside my chemical laboratory work. I went to London to complete an essay on the subject that I had begun in Leipzig, which was one of the reasons for my journey.

Another important reason was my wish to see England, whose strange magnetism had drawn me for quite some time. Now I had a good opportunity to acquaint myself with the country – a good friend of mine, Mrs. N.¹, an Englishwoman from Cologne in New Zealand who was studying music in Europe and wanted to spend a year in London before returning home, was travelling there from Leipzig. My decision to go was

considerably enhanced by the prospect of her company as well as the valuable assistance she was able to offer in meeting people, learning the country's social customs – and English. I believe that if I'd never met Mrs. N I would never have turned towards sociology nor acquired the degree of Englishness I possess. Thus, as it sometimes happens in life, motives that were initially absolutely remote from all rational and logical considerations connected with my profession, career or calling turned out to play an instrumental role in this very sphere. At the same time I would refrain from describing myself as particularly sensitive, imaginative or disdainful of sobriety and rationality in life. I am doubtless not a very spontaneous person and the disproportion between the signals sent out by my senses and the energy needed for their fulfilment continuously leaves me standing on a crossroads.

Returning to my attitude towards England and English life I must say that I was certainly no exception in my highly-developed anglomania, an almost mystical adoration of British culture and its representatives. I believe this attitude emerged primarily from my personal impressions of the English. I had travelled quite extensively prior to my trip to Britain and, naturally, I'd met many English people abroad. The impression was one of a natural and absolutely overwhelming superiority in dress, looks, manners and gestures – all this led me to put the English on a pedestal, surrounded by an aura of that elusive quality we usually call "breeding", or "aristocracy" – a quality that must come from the innermost of the human soul when we consider that it is the source of all snobbery, social megalomania and the whole structure of "society". Putting it briefly, the English were for me the aristocrats among the nations, a people that, compared to others, were what a "society" is within a given nation. Besides its debonair charm, the British way of life carried with it a sense of high-class elegance and style that permeated all spheres of the country's culture. I was highly impressed by English book editions and their designs as well as the clothes, flats and houses. For me England and the English also had an additional attraction: everything exuded a mysterious, not quite comprehensible quality that escaped my sense of the logical and rational. I didn't know the language very well but I felt that the English lifestyle was alien and incomprehensible to me not only because I had a poor command of the language but also because I was unable to understand its spirit. I found English scientific papers to some extent unclear, the same was true of English social structures, history, art, religion, etc. However, as I considered everything British as the best *a priori* I attributed my sense of alienation to my own backwardness and failure to understand and believed

• • •
Bronisław Malinowski

Ogarnia mnie wówczas dziwny niepokój.

List do Anieli Zagórskiej

Londyn 25. II. 13

Pisane dla Panny Anieli Zagórskiej
w Zakopanem.

Trudno mi było odpowiedzieć jasno i po prostu na pytanie, dlaczego właściwie pojechałem do Londynu; dlaczego w 26. roku życia rozpocząłem zupełnie nowy kierunek pracy naukowej i dlaczego w tym, względnie późnym, wieku zabrałem się do pisania w języku angielskim, którego przedtem prawie nie znałem, przyjmując w ten sposób kulturę angielską – także prawie całkowicie mi obcą – jako, do pewnego stopnia, – drugą ojczyznę duchową. Poprzednio zajmowałem się wyłącznie studiami przyrodniczymi i trochę filozofią, ale zawsze na tle zagadnień przyrodniczych i w kierunkach wyraźnie stojących w związku z matematyką i fizyką. Przez przyrodę rozumiem tu to, co właściwie nazywa się „przyrodą ścisłą” tzn. matematykę, fizykę i chemię. Wprawdzie zajmowały mnie zawsze zagadnienia ogólne; nie miałem nigdy skłonności do specjalizowania się i nie było żadnej dziedziny naukowej, która by mnie nie pociągała; w studjach przyrodniczych przerzucałem się tu ciągle z matematyki do fizyki, z fizyki do chemii; od pracy teoretycznej do laboratorium. To wszystko było wyrazem dyletantyzmu umysłowego, z którego się zresztą nigdy nie wydobędę i który ostatecznie popchnął mnie w dziedzinę nauk społecznych – tak zupełnie odmiennych od przyrody. Mam wrażenie, że teraz przestanę już przerzucać się, zwłaszcza że rozpocząłem już szereg prac, które będę chciał ukończyć, a w miarę posuwania ich naprzód wyłonią się nieraz, tylko że nowe, problemy i tak nie będę się już mógł z tego zakresu wyrwać. Bezpośrednio przed przyjazdem do Londynu, w Lipsku, pracowałem już, obok zajęć w laboratorium chemicznym, nad t. zw. „Völkerpsychologie” – to znaczy nad zagadnieniami z wierzeń i zwyczajów różnych ludów. Rozprawę z tej dziedziny, rozpoczętą w Lipsku, pojechałem wykończyć w Londynie. To był jeden z powodów.

Ale obok tego ważną rolę odegrał fakt, że miałem ochotę poznać Anglię, która mnie od dawna pociągała jakimś dziwnym urokiem. Teraz zaś miałem dobrą sposobność do zaaklimatyzowania się w tym kraju, bo jechała właśnie z Lipska do Londynu dobra moja znajoma i przyjaciółka Mrs. N¹, Angielka z Kolonii (Nowej Zelandii), która dla studjów muzycznych bawiła w Europie i chciała przez jakiś rok posiedzieć w Londynie przed ostatecznym powrotem do kraju. Zarówno jej towarzystwo samo przez

się, jak też liczne ułatwienia w poznaniu ludzi, stosunków, w szybkiej nauce języka – wszystko to pociągało mnie i skłaniało do decyzji. Mam wrażenie, że gdybym nie był poznał Mrs. N. nie byłbym nigdy zajmował się socjologią, ani też zanglizował się do pewnego stopnia. Tak to w życiu, motywy najbardziej odległe od racjonalnego i logicznego traktowania swego zawodu, kariery czy powołania, odgrywają zasadniczą rolę! Przy tem nie mogę się uważać za człowieka wyjątkowo wrażliwego, fantastycznego, pogardzającego trzeźwym i praktycznym kierowaniem swego życia; jestem jednak niewątpliwie mało spontaniczny i dysproporcja między danymi zmysłowymi a energią konieczną do pełnej ich eksploatacji stwarza ze mnie człowieka wiecznie stojącego na rozdrożu.

Wracam do mego stosunku do Anglii i rzeczy angielskich. Bezwarunkowo nie jestem bynajmniej wyjątkiem w tem, że miałem wysoce rozwiniętą anglomanię, jakiś prawie, że mistyczny kult dla kultury brytyjskiej i jej przedstawicieli. Mam wrażenie, że wytworzyło się to u mnie w pierwszym rzędzie skutkiem bezpośredniego wrażenia, jakie na mnie Anglicy robili. Podróżowałem dość dużo – przed przyjazdem do W. Bryt., i zagranicą spotykałem oczywiście wszędzie dużo Anglików. Bezpośrednie i zupełnie przygniatające wrażenie nieopisanego szyku, wyższości w wyglądzie, manierach, ruchach – wszystko to stawiało mi Anglików na jakimś piedestale, otaczało nimbem tego nieuchwytnego atrybutu, który określamy wyrazami „rasa”, „arystokratyczność” – atrybutu, który musi być wynikiem zasadniczych cech duszy ludzkiej, skoro zeń płyną wszystkie uczucia snobizmu, megalomanii towarzyskiej, a nawet cały ustrój „towarzystwa”. Anglicy byli dla mnie, jednym słowem arystokracją narodów, byli jako naród tem, czem jest „towarzystwo” w danym społeczeństwie. Poza urokiem osobistego szyku, angielszczyzna miała też za sobą dane najwyższej elegancji i wytworności przenikającej całą kulturę brytyjską. Zarówno książki angielskie, w swej zewnętrznej szacie, jak ubrania, styl mieszkań i domów – wszystko to imponowało mi niewymownie. Przytem Anglia i angielski miała dla mnie jeszcze jeden urok: było coś tajemniczego, niezupełnie zrozumiałego mi, wybiegającego poza moje poczucie tego co zwykle i logiczne – we wszystkim. – Nie znałem języka bardzo dobrze; ale czułem że styl angielski jest mi obcy i niezrozumiały nie tylko dlatego, że nie opanowałem dostatecznie języka, ale dlatego, że nie rozumiem ducha tego stylu. Prace naukowe angielskie także były mi do pewnego stopnia obce. To samo odczuwałem zawsze w stosunku do ang.[ielskich] urządzeń społecznych, ich historii, sztuki, religii itp. Ponieważ zaś uważałem wszystko co brytyjskie a priori za najlepsze – przypisywałem więc tę obcość mojemu własnemu niezrozumieniu, temu że nie dorosłem do odczucia tych rzeczy i spodziewałem się odkryć w tem, niezrozumiałem dla mnie residuum, całe otchłanie rzeczy nadzwyczajnych. Tajemniczość Anglii

that this incomprehensible residue would turn out to be an unfathomable source of extraordinary findings. For me, England's mysteriousness even extended into the physical. I was unable to imagine how the English lived, what their cities, houses, villages and fields looked like. This was why England exuded such an irresistible charm. The discrepancy between my imaginings and the country, between my mind and English culture, influenced my personal relations with the English. Doubtless they are a very stiff people, particularly towards those who don't speak their language well. This was why I never managed to strike up real acquaintances or even get close to the very many Britons I'd encountered during my travels. I did, however, have a strong sense of their social superiority and my dream was to strike up a real friendship with one of them or – an even stronger (and more natural) desire – a beautiful English lady with whom I could flirt. As far as I recall that was about the most definite shape my dreams took on at the time. It may well be that these expectations were behind my rising sympathies for Mrs. N – or at least speeded up their development. She was the first Englishwoman I'd gotten to know better and who'd reacted to me with evident warmth.

I can still remember that spring day full of atmosphere, sensation and hope as clearly if it were yesterday. A day whose very substance was contained between the North Sea's pale-green waves and a foggy sky, from which the Sun opalised through strange, semi-transparent, eastwards-rushing clouds. The day of my first passage across the channel from the Continent to England. This journey had its special content, mood and poetry, which I experience more or less intensely each time I travel to Britain but which probably imprinted themselves on my soul with particular strength during that first trip. On that day we travelled from Ostend to Dover – and for me this route will forever be the most classical way to get to England. Indeed, both the departure from the harbour in Ostend as well as the view of the white limestone cliffs surrounding the coast-adjoining, open valley in which Dover lies are experiences of incomparable beauty. In Ostend the train stops right in the harbour and you pass from the large, nice-looking station straight onto the ship, which leaves almost immediately.

The town is on the left. We first pass through the old harbour, which is usually crowded with scores of fishing boats and small sailships. On the shore is a fish market tended by a lot of old women dressed in black, trade halls and, further back, the houses of the old town quarter: narrow, low-built tenements painted in all possible (and impossible) hues, colourful and beautiful in their characteristic quaintness and lack of symmetry typical for small port towns. This impression is strongly

enhanced by the rows of sailships with multi-coloured sails standing peacefully in the foreground and the fact that the houses on the shorefront are reflected in the water and are disproportionately large against the small docks and equally disproportionately small against the huge sea, which one either sees or senses. All this conveys the impression of a closed-in, confined emotional-imaginative contradiction – one of those contradictions that give certain objects their specific inner charm.

We leave this old, colourful and very picturesque Flemish port town behind us as we approach the open seafront on which the modern, fashionable part of Ostend lies. Here one finds a magnificent promenade of villas and hotels, boasting both the highest and lowest in style and elegance. Colours give way to a monotonous grey – but not at once. It is amusing to watch the gradual merging of these two completely different building styles. The warped green, yellow and red tenements gradually straighten, wood replaced first by decent red brick and dark stone and then by stylish white stucco work. This far from the seafront the long, bright row of villas is not unattractive. A fog slowly settles over the houses and all that remains is a long strip of flat, sandy Flemish shoreline, against which pound the big waves of the North Sea, usually restless here and at all times green, turbid and full of subtle pastel effects and hues reminiscent of high-quality china. The sea outside the harbour – and for quite some distance afterwards – is full of fishing boats. The view is particularly magnificent on days when the sea is slightly unsettled, the boats continuously disappearing behind hillocks of green water. Seeing this for the first time one can not escape a sense of fear – the boats look as if they were being swallowed by the water before they reappear on a wave crest. Generally speaking the sea in this region is congested with traffic and the horizon is rarely free of sails, big and small, or a couple of ship funnels.

The smaller boats disappear as the ship bears off the continental shoreline. I don't know if it is because the noon sky is always brighter or that clouds really do tend to gather more over land than over the sea, but every time I was halfway across the channel there were clouds behind us and in front – over the continent and over England – but the overhead skies were clear, though hazy.

There is no land in sight now and we begin to feel the open sea. This sensation is as overwhelming, indescribable, special – and at the same time as simple – as the sea itself. The view before our eyes is generally uncomplicated: a huge carpet of water cut in two by the ship's bows and a large piece of sky, intersected by an iron railing if you're on the closed part of the deck and practically limitless when viewed from the open section.

rozcigała się dla mnie nawet na fizyczną stronę kraju. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak Anglicy mieszkają, jak wyglądają ich miasta, ich domy, wsie i pola. Dlatego też Anglja pociągała mnie zupełnie niesamowitym urokiem. Ta barjera, odgradzająca moją wyobraźnię od kraju, a mój umysł od kultury ang.[ielskiej] rozciągała się na moje osobiste stosunki z Anglikami. Są oni niewątpliwie bardzo sztywni, zwłaszcza wobec ludzi, którzy nie mówią dobrze ich językiem. Dlatego też w moich podróżach, jakkolwiek widziałem mnóstwo Anglików, nie zbliżyłem ani nawet nie zapoznałem się właściwie z żadnym.. Miałem jednak silne poczucie właśnie towarzyskiej wyższości Anglików; marzyłem o osobistej przyjaźni z Anglikiem lub – takie marzenia są jeszcze silniejsze i bardziej naturalne! – o jakiejś pięknej Miss, z którąbym mógł flirtować – konkretniejszej postaci moje marzenia, zdaje się, nie przybierały. Kto wie czy to aprioryczne oczekiwanie nie wpłynęło silnie na podniesienie mojej sympatii do Mrs. N. a przynajmniej na przyspieszenie rozwoju tej sympatii. Była ona pierwszą Angielką, z którą zapoznałem się lepiej, i która odniosła się do mnie z wyraźną sympatią.

Pamiętam dokładnie, jakby to było wczoraj, ów dzień wiosenny, pełen nastroju, wrażeń i nadziei, ów dzień, którego istota zawarta była między blado zielonymi falami morza Północnego a mglistym niebem, na którym słońce opalizowało z poza dziwnych, wółprzezroczystych chmur szybko pędzących ku wschodowi, – dzień w którym po raz pierwszy przejeżdżałem przez kanał z kontynentu do Anglii. Ten przejazd ma swoją treść, swój nastrój i poezję, które mniej więcej silnie przeżywam za każdym razem, kiedy wyjeżdżam na Wielką Wyspę, ale które wryły mi się w duszę najsilniej może za pierwszym razem. Jechałem wtedy przez Ostendę – Dover; i ta droga pozostanie dla mnie na zawsze klasycznym dojazdem do Anglii. W samej rzeczy nieporównanie pięknym jest zarówno wyjazd z portu Ostendy – jak i widok skał białych wapiennych wśród których, w dolinie otwartej na morze leży Dover. W Ostendzie przyjeżdża się na sam brzeg przystani i wychodzi się z dużego, ładnego banhofu wprost na statek, który zaraz odjeżdża. Po lewej ręce leży miasteczko. Najprzód mijamy port stary, w którym zwykle jest natłoczone mnóstwo łodzi rybackich i małych żaglowców. Na brzegu targ ryb, dużo bab w czarnych sukniach; hale targowe, z tyłu domy starego miasteczka; wąskie i niskie kamieniczki, pomalowane we wszystkich możliwych i niemożliwych kolorach, bardzo barwne i piękne w charakterystycznej dziwaczności i asymetrii właściwej małym miasteczkom portowym. Podnosi bardzo to wrażenie fakt, że na pierwszym planie stoją sobie spokojnie rzędami żaglowce o różnokolorowych płótnach; a także to, że domki ustawione nad brzegiem basenów portowych przegladają się w wodzie i są nieproporcjonalnie duże w zestawieniu z maleńkim nieraz dockiem a nieproporcjonalnie małe w zestawieniu z olbrzymim morzem, które się albo widzi

albo przeczuwa. Jest w tym wrażeniu jakaś zamknięta, uwięziona sprzeczność uczuciowo-wyobraźniowa – jedna z tych, które nadają niektórym rzeczom wewnętrzny urok. – Stare, różnobarwne i bardzo malownicze miasteczko flamandzkie, usadowione nad portem, mija, w miarę jak się zbliżamy ku szerokiemu morzu, nad którym rozłożyła się nowoczesna Ostenda, „Fashionable”, i wzdłuż którego rozciąga się wspaniała esplanada willi i hotelów o najwykwintniejszej i najparszywszej elegancji. Różnobarwność ustępuje jednostajnej szarzyźnie – nie od razu; zabawna jest powolna dyfuzja tych dwu zupełnie niewspółmiernych stylów. Popaczone, zielone, żółte i czerwone domki z wolna prostują się, przechodzą najprzód w przyzwoitą cegłę, i ciemny kamień a potem dopiero w kolor i gust białej sztukaterji. Ale z daleka, od morza, widok długiego, jasnego szeregu willi nie jest brzydki; powoli zachodzą one mgłą i widać tylko długą smugę, linię płaskiego wybrzeża piasków flamandzkich, o które w długich falach rozbija się zazwyczaj tu niespokojne, morze Północne, zawsze zielone i mętne, zawsze pełne subtelnych efektów pastelowych, czy jakiejś niezmiernie wytwornej porcelany. Na morzu zaraz po wyjeździe z Ostendy i długo jeszcze potem roi się wprost od łodzi rybackich. O ile morze jest trochę wzburzone widok jest wspaniały; co chwilę giną za zielonym pagórkem wody – widząc to pierwszy raz nie można się opędzić od przeżalenia: zupełnie wygląda jakby ich morze połknęło – to znów wypływają na szczyt fali. W ogóle morze jest w tych okolicach niezmiernie zaludnione; rzadko żeby nie było paru żagli większych lub mniejszych, paru kominów na horyzoncie. Mniejsze łódki znikają w miarę jak statek się oddala od brzegów kontynentu. Nie wiem czy to dlatego, że koło południa zawsze się niebo rozjaśnia, czy też rzeczywiście chmury gromadzą się bardziej nad lądem, a nad morzem niebo jest czystsze, w każdym razie, zawsze jak przejeżdżałem przez kanał, w połowie drogi chmury były za nami i przed nami, nad kontynentem i nad Anglją, a nad głową było czyste, jakkolwiek zamglone. Łądu nigdzie nie widać i rozpoczyna się nastrój pełnego morza. Nastrój tak potężny, niewysłowiony, specyficzny, a przytem wszystkim, tak prosty jak samo – morze. Widok który się ma ciągle przed oczami jest w ogólnych zarysach niezbyt skomplikowany: olbrzymi obszar wody, przecięty burtą okrętową i kawał nieba, zcięty również szyną żelazną, o ile się patrzy z pokładu przykrytego, a nieograniczony niczem, o ile się jest na pokładzie odkrytym. Ale w tych szerokich, choć niezmiernie prostych ramach, ile się mieści zmian nieskończenie subtelnych i bogatych w charakterze morza i nieba, w oświetleniu, w stanie morza zwłaszcza, zależnie od tego czy jest ono mniej lub bardziej wzburzone! Oczywiście najpiękniejsze jest morze wzburzone, a przynajmniej jest ono najbardziej interesujące. Niestety wielu, i mnie między innymi, nie sądzonem jest rozkoszować się tym nieporównanie dramatycznym

But this wide, albeit incredibly simple, frame embraces a multitude of infinitely subtle changes in the nature of the sea, sky, and light – and especially in the condition of the sea, depending on whether it is more or less disturbed! Naturally, the sea is at its most beautiful – or most exciting – when it is rough. Unfortunately seasickness makes many people, including myself, unable to enjoy this extremely dramatic phenomenon – at least not from the ship's deck. However, I can still remember the unique impression a storm encountered in open Atlantic waters near the Azores made on me despite my seasickness (which was relatively light at the time). The large, heavily loaded ship didn't roll very much and when it did the rocking was slow and laz. Huge waves attacked us frontally from the South, breaking in enormous cascades over the ship's bow, which immersed itself in the green bilge, creating the impression that half of the vessel was going to sink.

But a calm, completely smooth sea also has a unique poetry. The open sea is a huge prison, an endless, beautiful emptiness. Eyes restlessly search the horizon, circle it, and return to where they started from, together with our thoughts and yearnings. This is the road to the whole, wide world, a road leading everywhere and promising everything – its vast emptiness beckoning as if with a treacherous, sobering smile. At first we feel a strange uneasiness spiced with boredom and we look for our bearings in what the ship itself offers. The contrast between our life, based on Man's highly luxurious and technologically perfect cultural reality, and the breath of the open sea, a reality in its essence merciless, incomprehensible and unpure, usually has an extremely strong emotional effect, lending incidents like the Titanic disaster – and, in fact, all calamities at sea – their aura of tragedy and pathos.

The atmosphere of the open sea is something so strong, so elemental and unchanging, that one always experiences it with the same intensity and the same shivering – regardless of whether the journey in question lasts a couple of hours – like the channel crossing – or several days or a week (a week at sea between the ports of Hamburg and Funchal on the island of Madeira is the longest time I've ever spent on the open ocean).

But the effect of the open sea doesn't only depend on the condition of the water and sky. The view changes considerably depending from which part of the ship we observe it. The sea is totally different viewed from the bow, with nothing around you but water and sky. There, you can easily forget about the heavy hull dragging behind and your thoughts and soul can embark on a spiritual flight into the vastness beyond. I spent whole hours sitting there, pressed between two adjoining iron beams (or railings). If the sea is rough the

view from this point is simply wicked: in one moment I seem to hover over a deep chasm, only to see a huge mountain coming at me in the next. Of course, if the sea is very turbulent it is impossible to stand on the bow – nor, for that matter, anyplace else on the foredeck, which at such times is continuously swamped by waves. If the ship is near land it may be accompanied by dolphins, which always take up positions immediately next to the bow, repeatedly leaping up out of the water in graceful motions. In Atlantic waters near the Canary Islands (particularly in stormy weather) I frequently saw flying fish soar out of the water on widespread fins and – as if in a huge leap – fly considerable distances, even crossing a ship's foredeck (which, admittedly, is not too wide).

The sea looks completely different viewed from aft. There, it is not so easy to forget that one is stuck on a ship and immerse oneself in the pure, unblemished expanse of ocean and sky. It is not only the sensation of watching already traversed waters but also the ship's physical signs – the silvery backwash on the water and the dirty stream of smoke in the air – that lend something special to the sea at this vantage. Personally I don't like the view but the position is sometimes most convenient, especially if the front and side winds are too strong.

Modern, well-equipped passenger liners have long galleries, sometimes several stories high, running down both sides. Some extend right up to the ship's stern, some cover only three-quarters of the vessel's length and some only run along its middle part. These promenade decks are very convenient as usually at least one side is wind-free. They are usually sheltered and one gets the impression of walking down a narrow, low-ceilinged corridor supported by very delicate columns. One doesn't get much direct contact with the sea, which is poorly visible and only from one side, the view further disturbed by railings. Usually these galleries are populated by the (more or less) upper-class passengers and littered with deckchairs, and are therefore least suited for daydreamers wishing to intoxicate themselves with the sea's infiniteness. Besides, steamships always leave ugly, long waves running out at sharp angles from the sides, a result of the stern's tearing effect on the water. Hence the foredeck is at all times the most beautiful and most romantic part of the ship!

If the wind is strong the promenade decks become the site of a strange and very amusing game. The windside deck is usually quite wet with sea foam and therefore slippery, which enables skating in the same manner as it is done on frozen street gutters. The wind is at times so strong that it pushes you along the slippery deck and you don't have to take a run first. I remember partaking in this sport underway to the

widokiem, z pokładu przynajmniej – z powodu choroby morskiej. Ale pamiętam, że pomimo choroby nawet (która zresztą była wówczas względnie lekka) wrażenie jakiegoś niebezpieczeństwa, z którą spotkaliśmy się na pełnym Atlantyku, na wysokości wysp Azorskich – było nieporównane. Statek duży i bardzo wyładowany kołysał się mało, powoli i leniwie. Olbrzymie fale szły z południa, wprost na nas. Załamywały się w olbrzymich kaskadach nad dziobem statku, który zanurzał się w ich zielonych wnętrzościach, jakby miał zatonać aż do połowy swej długości. – Ale morze spokojne, morze zupełnie gładkie, ma też swoją niewypowiedzianą poezję. Pełne morze to więzienie olbrzymie, to najbardziej otwarta i piękna pustka – wzrok niespokojnie biegnie ku krańcom, okrąża je, wraca; za nim myśl; a za nią tęsknota; takim jest świat szeroki – najszerszy, droga, która prowadzi wszędzie, obiecuje wszystko – , a w swej beztreściowej rozległości zawiera już jakby zdradliwy uśmiech otrzeźwienia. Z początku ogarnia dziwny niepokój, zaprawiony nudą; szukamy jakiegoś punktu oparcia w tem, co daje statek. Kontrast między tem życiem, wykrojonym z najbardziej luksusowej i najdoskonalszej technicznie rzeczywistości kulturalnej, rzeczywistości stworzonej przez człowieka a między technieniem nieubłaganej i niezrozumiałej, nieczystej w swej istocie rzeczywistości pełnego morza – ten kontrast jest czasami, co – zawsze działa niezmiernie silnie, a co nabrało – tragicznego patosu w katastrofie Titanica jak zresztą i we wszystkich innych morskich nieszczęściach. – Nastrój pełnego morza jest czemuś tak silnym, żywiołowym i niezmiennym, że wydaje się równie intensywnym, że przeżywa się go zawsze z tym samym dreszczem, niezależnie od tego czy podróż na pełnym morzu trwa przez godzinę czy dwie, jak na kanale, czy przez parę dni; czy też przez tydzień. (Tydzień jest najdłuższym okresem czasu jaki przeżyłem na pełnym morzu, między portami Hamburgiem a Funchalem na Maderze).

Zresztą nie tylko zależnie od tego, jakim jest morze i niebo, zależy widok pełnego morza. Zmienia się on istotnie w zależności od tego z jakiego punktu na statku wyglądamy. Całkiem innym jest nastrój morza z samego dzioba, tam gdzie naokoło nie widać nic tylko wodę i niebo; gdzie się zupełnie zapomina o tem, że się za sobą wlecze ciężki kadłub statku, a myśl i dusza cała lotem bezcielesnym biegnie w dal, przed siebie. Całymi godzinami przesiadywałem tam, wgnieciony między dwa zbiegające się bale czy szyny żelazne. O ile morze jest wzburzone wrażenia tu są wprost wściekle: chwilami wznoszę się nad przepaścią, to znowu olbrzymia góra idzie na mnie. Oczywiście o ile morze jest bardzo wzburzone nie można stać nie tylko na dziobie, ale nawet w ogóle na przednim pokładzie, który co chwila jest pod wodą. Jeżeli statek jest blisko lądu często towarzyszą mu delfiny, które zawsze płyną tuż koło szpicu, co chwila wyskakując, pełnym wdzięku ruchem, ponad wodą. Na Atlantyku, koło Wysp

Kanaryjskich znowu nieraz widziałem ryby latające, które zwłaszcza o ile morze jest niespokojne, wylatują z fal i na rozłożonych płetwach, jakby w olbrzymim skoku przefruwają dość znaczne przestrzenie, nawet poprzez szerokość przedniego pokładu (dość zresztą nieznaczną).

Inaczej znowu wygląda morze, jeśli się na nie patrzy z tylnego pokładu. Tam nie można się tak łatwo oderwać od poczucia, że się jest przyklejonym do statku, nie można się zatopić w czystej, niczem nie skażonej przestrzeni Oceanu i nieba. Nie tylko wyobrażenie, poczucie tego, że się ma przed sobą przestrzeń już przejechaną, już odbytą – ale fizyczne ślady statku: srebrny pas na wodzie i brudne pasmo dymu w powietrzu nadają tej części morza specyficzny charakter. Osobiście nie lubię tej strony widoku, która jednak o tyle czasami jest najwygodniejszą, o ile z przodu i po bokach jest zbyt silny wiatr.

Na nowoczesnych, porządnie urządzonych statkach pasażerskich są umieszczone po bokach długie galerje, biegnące, nieraz w kilku piętrach jedne nad drugimi wzdłuż obu stron statku, czasem aż do samego tyłu, aż do 3/4 długości, czasem tylko wzdłuż środkowej części statku. Są one bardzo wygodne, zwykle bowiem przynajmniej jedna strona zasłonięta bywa od wiatru. Są zwykle przykryte, tak że się ma wrażenie jakby się chodziło po wąskim kruzganku o bardzo subtelnych kolumnach i niskim stropie. Ale właściwie mało się widzi morza i nie ma się bezpośredniej łączności z niem niejako, widać go tylko po jednej stronie, okrojone balustradą. Zresztą ten promenade-deck zwykle bywa zaludniony elegancką – mniej więcej – publicznością, zastawiony deck-chair'ami, tak że się nadaje najmniej do – marzyńskiego upijania się nieskończonością. Pozatem morze po bokach parowca ma zawsze nieładne, podłużne fale biegnące od statku pod kątem ostrym: fale, które powstały od rozdarcia morza dziobem statku. Najpiękniejszym, najpoetyczniejszym jest zawsze przedni pokład! – Na bocznych pokładach, promenade-deckach można czasem, o ile jest silny bardzo wiatr uprawiać specyficzny i niezmiernie zabawny sport. Zwykle od strony wiatru deski pokładu są całkiem mokre od piany morskiej i skutkiem tego śliskie. Otóż można sobie tam urządzać ślizgawkę, analogiczną do tej, którą ulicznicy uprawiają na zamrażniętych rynsztokach.. Czasem wiatr bywa tak silny, że bez rozpędzania się można pod jego naciskiem jechać po śliskich deskach. Taki sport pamiętam uprawiałem ma „Gertrudzie Woermann [?]” jadąc na Wyspy Kanaryjskie. Przytem ponieważ fale dochodziły czasem aż do połowy tego pokładu (od strony wiatru), sport miał swój urok pewnego ryzyka – przynajmniej przemoczenia aż do suchej nitki.

Ale wracając na Kanał, nastrój pełnego morza opanowuje mnie zawsze podczas tego krótkiego przejazdu i przecina niejako pasmo wrażeń kontynentalnych od nastroju W. Brytanii. Pomiędzy zgiełk i chaos, jaki stwarza zawsze podróż koleją, rozsuwa się ta krótka a jednak nie-

Canary Islands on board the Gertrude Woermann [?]. The waves sometimes reached halfway up the deck (windside), lending an exciting whiff of danger to the game – one at least risked getting soaked to the bone.

But to get back to the channel crossing: always when I take the short passage I succumb to the mood of the open sea, which in a way separates my continental impressions from my British ones. Amidst the noise and bustle typical for railway travel this short – and at the same time immeasurable – moment of translucent emptiness extends the day and puts a distance between both worlds. During this time I go through mental states completely different from those I experience before and afterwards. I begin to yearn for things that were once signs of best-possible developments, things born in secluded brooding. An instinctive inner asceticism rises up in me with the violence and insistence of a bad conscience, pushing me on to embrace the world in the simplest and purest way – in the manner of the vast sea and the skies above it. These thoughts, which I am sometimes not fully aware of, tend to permeate everything around with an intangible sadness and a yearning devoid of a definite object and with no consolation in sight. These thoughts carry with them a cry for a new life, the wish to wrench myself away from my own self.. In their light one can frequently notice things that are usually concealed and reach the innermost vestiges of one's soul, whose existence one hadn't even dreamt of before! And then I feel a strange unrest. I walk nervously about the deck, sometimes looking for solutions close at hand. I gaze into my fellow travellers' faces. The human mixture crossing the channel is often quite amusing to watch: thoroughbred Englishmen, continental riff-raff and British-resident foreigners with their funny masquerade of "Englishness". The latter are easy to notice (I myself belong to this woeful and ridiculous category).

Beautiful womens' faces are, of course, a focal point in my fallen metaphysician's reverie. My yearning, born from the dark blue depths of the sea, could well find relief in a pair of deep blue eyes! This realisation throws me back to my wanderings through the green desert, but memories keep coming back... Until suddenly the fog – ever-present here – slowly reveals a shape that is more distinct. From a distance it is at first hard to tell if it isn't a bank of white clouds low over the water, but slowly the forms become clearer: elegant white cliffs appear between the bright-green expanse of sea and the sky. Two broad cliff banks appear before our eyes with increasing clarity, the coast running off to the right and left. On the left is the southern coast, on the right the eastern shoreline, its lime cliffs soon giving way to the flatlands surrounding the wide bay of the Thames estuary. Between the walls is a wide valley, closed at the

back by a hill and open to the sea in front. The city of Dover spreads out across the entire valley and onto the slopes of the surrounding hills. The view has its charm, particularly as a first view of England and its unique landscape. This uniqueness mainly results from the fact that the air in England is much more humid than on the Continent, thanks to which my eyes gain a totally new perspective and I experience a number of heretofore unknown visual effects. The horizon is very narrow, distant objects disappearing into a blue fog which at times goes into a deep sapphire hue. Objects that are closer seem incredibly soft-contoured, the colours considerably toned down, which makes the hills at the back of the Dover valley look much bigger and more impressive. The landscape and architecture are truly magnificent. To the right, perched on a flat-topped cliff, Dover Castle spreads out majestically. To the left, as a pendant, is an army barracks or some other building. The harbour itself is quite pretty, with two stone piers like two outstretched arms and a broad berthing dock. But the most beautiful element are undoubtedly the limestone cliffs, celebrated in the song *The White Cliffs of England* and shining from afar like the fangs of Britain's lion. The sea crashing at their foot surrounds the whole island with a silver belt. This picture and the atmosphere it conveys forms the essence of England's insularity – that which we frequently dwell upon in our imaginings about this vast, flat country that is now emerging before us from the green sea waves.

Arriving in a country on an island differs greatly from ordinary border crossings. Here, visitors see their destination before them as a whole, confined unit and although in England's case it is impossible to see its entirety, nevertheless the white coastline, emerging slowly from the bluish fog over the silvery sea-waves, seems to stand as a symbol for this whole, huge piece of land and our thoughts feel like flying towards distant territories beyond our field of vision. Arriving here is something complete, something of a physical reality that can be truly felt, the beauty of the landscape and uniqueness of the situations one experiences enhanced by the poetry of our mind pictures. This has nothing to do with today's accursed trend of travelling by rail, where you notice you've crossed from one country into another by the galloons on the conductor's uniform or a change in the colour of the coach upholstery (travellers able to afford luxury train compartments are spared even that). Arriving on a new continent by sea always carries with it the primeval, mysterious force of something new slowly emerging and taking shape from nothingness. Something out of a dark-blue distance, the depths of a murky darkness, that gradually begins to grow and take shape before our eyes and whose true

objęta chwila przejrzystej pustki, która wydłuża ten dzień i stwarza odległość między temi dwoma pasmami przeżyć. Przez chwilę tą przechodzą stany psychiczne tak zupełnie odmienne od innych rzeczy, które poprzedzają i następują. Rodzi się tęsknota za rzeczami, które kiedyś były znakami najlepszego rozwoju, za rzeczami, które rodzą się z samotniczej kontemplacji gwałtownie i z natarczywością wyrzutów sumienia budzą się instynkty wewnętrznej ascezy, która pcha do objęcia świata w formie najprostszej i najczystszej – takiej, jak to morze rozległe i niebo nad niem. Rzeczy te, które czasem nawet nie dochodzą do pełnego uświadomienia, czasem tylko przenikają wszystko wokoło jakimś niewidzialnym smutkiem i tęsknotą bez przedmiotu i ukojenia, rzeczy, które niosą w sobie krzyk za życiem nowem, za wyrwaniem się, oddaleniem od samego siebie.... W świetle ich można czasem dojrzeć dużo rzeczy w ogóle ukrytych i dotrzeć do zakamarków własnej duszy, o których istnieniu przedtem się nie śniło – ! Ogarnia mnie wówczas dziwny niepokój. Chodzę szybko po pokładzie. Czasem szukam czegoś „pod ręką”; przeglądam twarze towarzyszy podróży: publiczność jadąca przez kanał jest często zabawna: mieszanina czystej krwi anglików i hołoty kontynentalnej i ta zabawna maskarada cudzoziemców, którzy mieszkają w Anglii i którzy się „przyanglizowali”. Poznać ich łatwo na pierwszy rzut oka! (Ja sam należę do tej, pogardy godnej i komicznej kategorii). Twarze pięknych kobiet są oczywiście punktami orientacji w tym przeglądzie upadłego metafizyka. Tęsknota zrodzona z siennej głębin morza rada by się zaspokoić w spojrzeniu pary niebieskich oczu! Uświadomienie takiej rzeczy odrzuca mnie nazad na wędrowkę po zielonej pustyni. Czasem wspomnienia przychodzą... Aż oto z mgły, która tu jest wieczna, powoli wylaniają się jakieś bardziej określone formy. Z daleka trudno się zorientować początkowo, czy to nie są białe chmury leżące nisko tuż nad wodą; ale powoli widać coraz wyraźniej: pomiędzy jasno zieloną przestrzeń morza i nieba zaznaczają się elegancko zarysowane białe skały. Przed nami dwie szerokie ściany wylaniają się coraz wyraźniej; na prawo i na lewo brzeg ucieka; na lewo południowe wybrzeże, na prawo wschodni brzeg, na którym skały wapienne kończą się niedługo i ustępują miejsca płaskim przestrzeniom, otaczającym szeroką zatokę u ujścia Tamizy. Pomiedzy dwoma ścianami otwiera się szeroka dolina, zamknięta z tyłu pagórkami z przodu otwierająca się na morze; całą szerokość dolinki zajmuje miasto Dover, które pozatem rozpina się naokoło na pochyłości pagórków otaczających. Widok jego ma pewien urok, zwłaszcza jako pierwsze powitanie Anglii, pierwsze wrażenie krajobrazu angielskiego z całym jego specyficznym charmem. Charm ten polega w pierwszej linii na tem, że powietrze w Anglii jest bez porównania bardziej przesycone wilgocią niż np. u nas i wogóle gdziekolwiek na kontynencie. Z tego powodu powstaje zupełnie inna perspektywa powietrzna i szereg efektów malarskich

nam zupełnie nieznanymi. Horyzont jest bardzo mały. Dalsze plany nikną, stopione w niebieskiej mgle, która w oddali przechodzi czasem w głęboki szafir. Bliższe przedmioty wychodzą dziwnie miętko; barwy wszystkie są zmodyfikowane i stonowane znacznie bardziej. W dolinie Dovru dalszy plan, pagórki stojące z tyłu wydają się przez to także znacznie większe, bardziej imponujące. Przytem linie, architektura pejzażu jest rzeczywiście piękna. Na prawo na szczycie ściętej skały szeroko, majestatycznie rozkłada się Dover Castle. Na lewo, jako pendant, na drugim pagórku koszary, czy inny budynek. Sam port jest wcale niebrzydki, dwa kamienne wały (piers, po angielsku) obejmują, jak dwa wyciągnięte ramiona, szeroki basen przystani. Ale najpiękniejsze w krajobrazie są niewątpliwie skały wapienne, sławione w piosence patriotycznej „the white cliffs of England”, z daleka połyskujące jak kły lwa brytyjskiego. A u stóp ich morze rozbija się i otacza wyspę „opaską srebrną”, „the silver belt”. Ten widok zawiera w sobie, streszcza swoim nastrojem całą „wyspiarskość” Anglii, te wszystkie przecucia i wyobrażenia jakie się ma o tym olbrzymim płaskim kraju, który tak oto – przed nami wylania się z zielonych fal morza. Całkiem inaczej odbywa się przyjazd do kraju, który jest wyspą, niż zwykle przekroczenie granicy. Wyspę ma się przed sobą, jako pewną całość integralną, ograniczoną. I jakkolwiek, w wypadku Anglii przynajmniej, nie można objąć okiem jej całości, niemniej ten biały brzeg, wylaniający się z powoli z mgły siennej, ponad srebrzystą pianą fal – symbolizuje niejako całą olbrzymią wyspę i myślą ogarnia się dalekie obszary, leżące poza tem co widać! Przyjazd jest tutaj czemś kompletnem, czego fizyczną realność przeżywa się rzeczywiście, w czem poezji wyobrażeń i sytuacji odpowiada piękno widoków i swoistość przeżyć. To nie ta przekłeta współczesna technika podróżowania koleją, gdzie zmianę kraju poznaje się po galonach konduktora i kolorze obić wagonu; podróżnym którzy mogą sobie zapłacić train de luxe nawet te wrażenia bywają oszczędzane. Dojazd morzem do jakiegoś nowego kontynentu ma w sobie zawsze tę pierwotną, tajemniczą moc rzeczy nowych, które powoli powstają, jakby stwarzane, ucieleśniane z nicności; powstają z siennej dali i z głębi mglistego mroku i w oczach, nieznacznie rosną i przybierają kształt, który odgadną[ć] się staramy zanim w swej pełni stanie przed nami. Pamiętam nieopisane wrażenie, które miałem podróżując pierwszy raz po morzu Śródziemnem. Nad brzegiem morza siedząc w cudownej zatoce, gdzie wśród gaju pini i długich szpalerów aloesu i erica arborea nikt nie zakłócał piękna i samotności jesiennych dni, czytałem Odyseję, po grecku, ucząc się do matury. Byłem po ciężkiej chorobie, wycieńczony i tak przygnębiony, że nawet cudowne słońce nie uśmiechało się do mnie; nie wolno mi wówczas było czytać samemu i lekarze stawiali bardzo ponure horoskopy dla mojego wzroku. Matka pracowała ze mną. Powoli przychodziłem do sił i całe piękno, – upa-

form we attempt to guess at even before we see it in full. I still remember the indescribable sensations I felt on my first trip to the Mediterranean. Sitting on the shore of a beautiful bay among pine groves and long rows of aloe and *erica arborea* and with no one disturbing the beauty and seclusion of the autumn days, I read the *Odyssey* in Greek, cramming for my GCE. I was emaciated and exhausted after a serious illness and so downcast that I didn't even notice the wonderful sun smiling down at me. At the time I'd been forbidden to read by myself, doctors having made sad forecasts regarding my eyesight, and my mother worked with me. But slowly my strength returned and I experienced the entire intoxicating beauty of life stirring in me. I experienced it – and the distant, dark-blue sea, the stone-walled olive groves on round, gently-sloping hills and the gravel paths on which I walked next to the seashore. One of them ran the length of the bay to a chapel standing on the other (South) end. I think it was called S-ta Maria Anunziata. Sometimes, when I felt better, I accompanied my mother to the town, Luosin piccolo, along a path leading over a hill and cutting across a piece of headland fencing off our bay, Cigale, from the town and its harbour. I can remember walking to the harbour quite late on one moonlit evening, just after sunset. The town was empty, as if deserted, barges topped with dark sails rocked on the silent water in the warm, soft air. The smell of burning oil and the quick, resonant, well-rounded sound of Italian. From a distance I heard someone singing, "Ninetta mia Son' barcarola, Sono del'arte e sono gentile, Nell mia barca se vuoi venire, Sull' alto mare andaremo...". I remember this moment, its scent and melody, very vividly. Until this day it awakens in me the atmosphere of those days: an unconscious, much-longed-for fulfilment of my own, idealised picture of Italy which reality was later to destroy. But I still have it in my memory, I still know that land of unknown happiness that was so close to me for a moment, almost mine, although my feet will never tread that soil again!

At that time I was deeply under the impression of the poetic beauty of Homer's *Odyssey*. The scanned sounds of Greek were only partly comprehensible to me and completely alien as a spoken language, a tool permitting direct communication of inner content, which was exactly why they provoked an exuberance of strangely vivid impressions and sensations. Poetry in a language well known to me, where I rather feel than understand words, in a language uncontaminated by everyday usage, has its own strength and charm. Here, it is as if language consisted of names, each describing a separate and individual state of the soul. Naturally, poetry in one's own mother tongue is the most appropriate and best understood, but there are also

advantages in the other. For me, certain phrases in the *Odyssey* stood for the concrete shape taken on by the gush of life that at the time poured over me from innermost sources. Besides language and sound, I was also fascinated by the slowly unravelling pictures portraying the divine wanderer's adventures, and the ocean (particularly the seaborne adventures). With indescribable yearning my eyes and thoughts reached out through the narrow mouth of the bay towards the wide, violet-hued sea. I glided over its smooth, broad surface far, far away to Ithaca, embraced Italy and went on to Sicily, home of Polyphemus. Once there I turned the other way, towards the waters of the Black Sea, where Odysseus' wanderings began, and on to the coast of Egypt, land of the lotus-eaters. Both the sea and the territory in those parts seemed strangely deep, mysterious, as if shrouded by some kind of blue fog hanging over the sea like darkness. And I simply could not believe that the waters on whose shores I sat and which washed my feet were part of the same sea that disappeared somewhere into the darkness of tales and legends so distant that our imagination is barely able to embrace them.

After a few days in Cigale I boarded a ship and travelled south, chasing the shadows of my thoughts – in vain. They escaped me like night fleeing the Sun and before my eyes I only had the same old sea, pushing me on into the distance and playing on my yearning, and the wonderful coastline with its vine and olive groves, naked cliffs and small, white-walled towns. But I still remember vividly the feelings I had when I awoke shortly before arriving in Ragusa. I don't know why, but this was the first time I felt I was truly traversing the waters of this wonderful Mediterranean basin which gave birth to the antique world and its culture and where – on similar clear, sunny mornings – Roman triremes sailed peacefully along the brightly-lit, laughing coast.

We sailed along the Dalmatian coast, stopping for sightseeing at all the larger cities. This trip impressed me deeply, perhaps because I'd been prepared for it by my longing, by an inner silence in which thoughts without shape or content but incredibly strong, like rays of light signalling life, had the chance to develop freely.

The first port, Zara, impressed me deeply – it was the first true example of an Italian small town I'd encountered. I searched its narrow, dark alleys, along which people strolled as if along cobbled corridors, its little churches colourfully concealed amongst the houses, and the town's entire, dirty, *lazzarone*²-like bustle for an embodiment of all the formless, foggy and disorganised thoughts and dreams I'd had so many times in connection with the magic name: Italy. This stony materialisation of puny, dispersed imaginings, this

jające szczęście budzącego się we mnie życia, przeżyłem i przelałem na dalekie, sine morze; na gaje oliwne wśród kamiennych wałów, położone na łagodnych stokach okrągłych pagórków; na drogi wysypane żwirem po których można było chodzić nad samym brzegiem morza. Jedna dróżka prowadziła nad zatoką, wzdłuż, aż do kapliczki, która stała na drugim końcu zatoki, południowym – S-ta Maria Anunziata, zdaje mi się. Czasem, już jak czułem się zdrowszy, chodziłem z Matką do miasteczka (Lusosin piccolo –) drogą poprzez pagórek, przecinającą przylądek, który odgradzał naszą zatokę, Cigale, od portu miasteczka. Pamiętam taki jakiś wieczór księżycowy, kiedy późno dosyć, zaraz po zachodzie słońca dochodziłem do portu. Miasto bardzo puste, prawie jak wymarłe; na cichej wodzie kołyszą się w ciepłym, miękkim powietrzu barki o ciemnych żaglach; zapach oliwy smażonej i szybka, dźwięczna, okrągła mowa włoska; z daleka słychać piosenkę: „Ninetta mia Son' barcarola – Sono dell'arte e sono gentile – Nell' mia barca se vuoi venire – Sull' alto mare andremo...”. Pamiętam dobrze tę chwilę, jej zapach i jej melodię – która do dziś dnia budzi we mnie treść tej epoki: nieświadome, wytęsknione ujęcie włoskości w jakiejś wyidealizowanej, mojej własnej formie, którą rzeczywistość później zabiła. Ale we wspomnieniu mam ją jeszcze, znam jeszcze ten kraj nieznanego szczęścia, które przez chwilę było mi bliskim, prawie moim; ale stopy moje już tam nie powrócą!

Wówczas byłem bardzo przejęty pięknnością Homera: poezją Odysei. Dźwięki skandowanej greczyzny, na wpeł mi tylko zrozumiałe; a raczej obce mi zupełnie jako mowa, jako narzędzie bezpośredniego wypowiedzenia treści wewnętrznych – kojarzyły się właśnie dla tego w dziwnie plastyczny sposób z całym natłokiem bujnie rozwijających się wrażeń i odczuć. Poezja w języku dobrze mi znanym, w którym się bardziej przeczuwa, niż rozumie słowo; w języku nie skalanym codziennością i powszedniością użytku, ma swój własny czar i potęgę. Jest to jakby język składający się z imion własnych, oznaczających indywidualnie tyleż swoistych stanów duszy. Oczywiście poezja w języku ojczystym, własnym jest tą właściwie i w pełni zrozumianą poezją, ale tamta ma też swoją wartość. Dla mnie niektóre frazesy z Odysei były tym konkretnym kształtem, w który zeszytniała owa fala życia, zalewająca mnie wówczas z źródeł najgłębszych. Poza językiem równoległe z dźwiękami fascynowały mnie też obrazy, powoli roztańczające się przedemną, treść przygód boskiego tułacza i, zwłaszcza, scena tych przygód – morze. Z nieopisaną tęsknotą wybiegałem, poprzez wąski otwór zatoki, oczami i myślą na szerokie, „fiolkowe” morze; ślizgałem się po jego gładkiej, szerokiej powierzchni, hen, daleko aż ku brzegom Itaki, obejmowałem Włochy i szedłem ku Sycylii, ku ojczyźnie Polifema; i tam daleko, w przeciwną stronę ku wodom Pontu skąd się tułaczka Odyseja zaczęła i ku brzegom Egiptu, gdzie mieszkali Lotofagowie. I morze tamto,

przezeń tamta raczej wydawała mi się dziwnie głęboka, czy tajemnicza, jakby otoczona jakąś mgłą błękitną, która nad morzem zwiślała, jak noc. I wprost nie chciało mi się wierzyć że ta oto woda, nad którą siedzę, która do stóp moich dobiega, to część tego samego – morza, które tam dalej gubi się w mroku legendy, staje się baśnią, ledwo dostępną wyobraźni.

A potem po parodniowym pobycie w Cigale, wsiadłem na statek i pojechałem na południe, ścigać cienie mej myśli – próżna pogoń! Pierzchają, jak noc przed słońcem i przed sobą mam zawsze tylko to samo morze rzeczywiste, które tylko ciągle pcha w dal i mam tęsknotą; i brzeg wspaniały, winnice i gaje oliwne, skały nagie i miasteczka o białych murach. Ale pamiętam dobrze moje uczucia jak się obudziłem dojeżdżając do Raguzy. Nie wiem dlaczego, ale po raz pierwszy miałem wrażenie poczucia, że jestem na wodach tego wspaniałego basenu Śródziemnego, nad którym wyhodowała się cała kultura świata starożytnego, gdzie w taki sam ranek pogodny i słoneczny spokojnie płynęły (!) tiryreny rzymskie nad oświetlonym jasno –, śmiejącym się brzegiem. Jechaliśmy wówczas statkiem wzdłuż brzegów Dalmacji, zajeżdżając po kolei do wszystkich większych miast i zwiedzając je. Podróż ta zrobiła na mnie silne wrażenie, właśnie dlatego, być może, że byłem do niej przygotowany długą tęsknotą, ciszą wewnętrzną, w której owe rzeczy bez kształtu i bez treści, a tak niezmiernie silne, owe promienie zwiastujące życie, mogą rozwijać się swobodnie.

Pierwszy port: Zara zaciekał mi niezmiernie jako pierwszy okaz małego miasteczka włoskiego, jaki widziałem. Dopatrywałem się w ciasnych, ciemnych uliczkach, gdzie ludzie chodzili sobie, jakby po jakiś korytarzach brukowanych, w kościółkach malowniczo ukrytych między domami, w życiu, brudnym i lazzarońskim² ucieleśnienia tych wszystkich myśli i marzeń bez formy, a raczej o formie mglistej, niezintegrowanej, które miałem tyle razy w związku z tym imieniem magicznym Włochy! Takie ucieleśnienie kamienne myśli małych i rozproszonych, takie zcałkowanie w żywą istotę tego co gdzieś znajdowało się [w] kraju snów, stanowi dla mnie jeden z największych uroków podróży. W tych wrażeniach, które zawsze zstępują niespodzianie, podróż bywa rzeczywiście piękna; tak jak miłość, która w życiu stwarza to, za czym tęsknimy, ale nie śmiemy prawie wierzyć w jego rzeczywistość. Czasem to ucieleśnione marzenie występuje tak nagle, tak niespodzianie, uderza w umysł zmęczony i przysypany pyłem wrażeń trywjalnych, tak potężną kaskadą piękna oczyszczającego i trwożnego, że staje jak sen ucieleśniony; że posiada równocześnie urok tajemniczy snu i życiem tryskającą intensywność jawy. Pamiętam taki był mój pierwszy przyjazd do Wenecji. Zmęczony, zwiedzaniem Wiednia w upalne i suche dni Wrześniowe, wyczerpany spacerem po grotach Postoiny, wsiadłem z Matką późno popołudniu w pociąg, jadący do Wenecji. Byłem tak prze-

integration into a living organism of that which had been hidden somewhere within the realm of dreams, is for me one of the greatest attractions of travelling. These sensations, which always come down on one unexpectedly, are what makes a journey really beautiful – like love, which brings into our lives what we crave after but in whose existence we barely dare to believe. At times such materialisations of dreams appear quite suddenly and unexpectedly, attacking a mind exhausted and dimmed with the dust of trivial impressions with such mighty cascades of purifying and intimidating beauty that they seem like dreams come true, possessing both the mysterious charm of the dreamlike and the life-spurting intensity of the material world. Such, I remember, was my first-ever arrival in Venice. Tired after several hot, dry September days spent sightseeing Vienna and exhausted after a trek through the caves of Postoina, my mother and I boarded a late-afternoon train to Venice. I was so full of impressions that I began conversing with my fellow-travellers, a Jewish salesman and his wife. I remember I became fully immersed in a dialectical debate about anti-Semitism, Austria's internal policies, etc. I fell into a state of passive exhaustion and nervous excitement, experiencing the well-known external symptoms of rail travel: the monotonous clatter of the wheels on the tracks, the blurred, winking lamplight, the typical hoarseness of voices raised to overshadow the train's noise and the dirty-yellow upholstery of the 3rd-class coach. To this one may add a medley of mental pictures, anxiety about finding convenient and cheap quarters for the night, a sense of helplessness and a feeling that one is at war with that part of humanity with which one is directly confronted. The railway station, the luggage porters and the host of hotel servants only served to enhance the extreme banality of my first arrival in Venice.

The station entrance opens directly onto the Canale Grande. Suddenly, I was struck by the silence of the clear, moonlit night. The yellow glare of streetlamps reflected in the delicately rippling water, dispersing in the silvery-bluish light. The sound of water splashing quietly against stone steps seemed so uncanny, so distinctly characteristic of Venice's deepest soul – white marble washed with green water, the waves of the

lagoon reflecting the Gothic turrets of the palaces and, further on, fishing settlements, sand and muddy, flat banks.

We boarded a gondola which took us through some narrow side canals, every now and then returning to the Canale Grande. Shapes I knew well from the shadows of my dreams appeared before me. I listened to the names with a shiver, a strange feeling of happiness, as if I were experiencing a grand moment, as if all these great things were only materialising now. A base – though common – symptom of self-centredness (though perhaps my feelings were not all that undignified – after all, at the time I only felt what I felt and was driven solely by my enthusiasm). Chiesa degli Scalzi, Palazzo Vendzamin (Veneziani) – Calerghi, Palazzo Foscari – I still remember the names I heard that night until this day.

© Copyright by Helena Wayne

Manuscript transcription and editing:
Danuta Benedyktowicz, Zbigniew Benedyktowicz

Translated by *Maciej Bańkowski*

Notes

- ¹ "Mrs. N.", or Anna Brunton, is a native of South Africa, not New Zealand (it seems that Malinowski wanted to conceal her identity here). Anna Brunton appears in the diaries as an "n" enclosed in a circle. Nina Stirling, another woman encountered in Australia, appears as a capital N. Malinowski met Anna Brunton during his studies in Leipzig (1908-1910), where she was a music student. There is evidence of their trips to Switzerland in Malinowski's diaries from that period. Malinowski and Anna Brunton corresponded with each other for some time following Anna's return to South Africa and met again when she visited England in 1929 (cf. Helena Wayne: *Bronislaw Malinowski: The Influence Of Women On His Life and Work*).
- ² *Lazzarone*: any of a class of homeless beggars usually found on the streets of Naples.

sycony wrażeniami, że zacząłem rozmawiać z towarzyszami podróży: komiwojażerem Żydowskim i jego żoną. Pamiętam cały zatonąłem w djalektyczną dyskusję o antysemityzmie, polityce wewnętrznej Austrii i t.p. Wpadłem w ten stan biernego przemęczenia i podniecenia nerwowego; jednostajny stukot kół o szyny, brudne, mrugające światło lampy, ochryple głosy którymi się zawsze mówi, ażeby przekrzyczeć hałas pociągu, brudno-żółte wnętrze wagonu 3. klasy – oto elementy zewnętrzne dobrze znanego nastroju kolejowego. Do tego dodać jeszcze kalejdoskop obrazów pamięciowych, niepokój czy się dostanie łatwo, wygodnie i tanio schronienie na noc – bezradność pewna i poczucie, że się jest na stopie wojennej z tą częścią ludzkości, z którą się ma bezpośrednio do czynienia. Dworzec kolejowy w Wenecji, tragarze, banda służących hotelowych, to wszystko jeszcze przyczyniło się do zaakcentowania tej niezmiernie banalnej formy, w której po raz pierwszy znalazłem się na lagunie. Z dworca wychodzi się bezpośrednio na Canal Grande. Nagle uderzyła mnie cisza jasnej nocy księżycowej. W srebrnym, niebieskawym świetle żółte światła latarni, pryskające w odbiciu na lekko falującej wodzie. Cicho pluskała woda o kamienne schody i ten szmer tak dziwny mi się wydał, tak dużo mówił odrazu o tej najgłębszej istocie Wenecji – o marmurach białych, oblanych zieloną wodą, o falach laguny, w których przeglądają się gotyckie koronki pałaców, i które tam daleko oblewają wioski rybackie i piaski i muliste brzegi płaskie. Wsiadliśmy w gondolę, która nas wiozła, trochę przez wąskie kanały boczne, chwilami wypływała znów na Canal Grande. Kształty dobrze mi znane, wymarzone z cieniów występowały przedemną; słyszałem

nazwy, ze drżeniem, z dziwnym uczuciem radości, jakgdybym przeżywał wielką chwilę, jakby te wielkie rzeczy dopiero teraz się urzeczywistniały; upokarzający symptom, ogólnego zresztą egocentryzmu – zresztą może nawet nie upokarzający – przecież wtenczas czułem zupełnie tylko tamto i byłem tylko przepelniony entuzjazmem. Chiesa degli Scalzi, Palazzo Vendramin (Veneziani) – Calerghi; Palazzo Foscari – te nazwy do dziś pamiętam z owej nocy.

© Copyright by Helena Wayne

Transkrypcja z rękopisu i opr.

Danuta Benedyktowicz, Zbigniew Benedyktowicz

Przypisy

- ¹ „Mrs N.” to Anna Brunton, pochodząca z Południowej Afryki, nie Nowej Zelandii (wydaje się, że Malinowski chciał jakby ukryć jej tożsamość tutaj). Jej postać pojawia się w dziennikach w zakreślonym kółkiem „n”. Inna kobieta, spotkana później w Australii, Nina Stirling występuje pod „pełnym N.”. Malinowski poznał Annę Brunton w czasie swoich studiów w Lipsku (1908-1910), kiedy studiowała tam muzykę. Można znaleźć świadectwa o ich podróżach do Szwajcarii w jego dziennikach z tego okresu. Gdy powróciła do Południowej Afryki, przez pewien czas korespondowali ze sobą. Spotkali się ponownie, gdy odwiedziła Anglię w 1929 roku (por. Helena Wayne, *Bronisław Malinowski: wpływ kobiet na jego życie i dzieło*)
- ² lazaron – przest. łazik, bezdomny włóczęga (neopolitański), żyjący z dorywczych posług albo żebraniny; wł. *lazzarone*.